

O chłopcu, który stał się mężczyzną — henrykinho

Od autora: Część II/II

Część I - <http://www.portal-pisarski.pl/czytaj/44796/o-chlopcu-ktory-polowal-na-nosorozce>

Doły mają do siebie to, że są głębokie. Owszem, mogą być także szerokie niczym rzeki albo, można sobie wyobrazić, zakamuflowane podobnie do czyhających na liściach palmowca modliszek, które w mgnieniu oka są gotowe odgryźć swej kolacji głowę, uśmiechając się przy tym półgębkiem do jej padającego na ściółkę tułowia. To wszystko się zgadza, jednak główny wymiar dołu byłby w stanie wskazać każdy dziesięciolatek. Dziesięciolatek nawet niekoniecznie zakolegowany z opasłymi tomiskami „Dziejów dołów”.

Doły są zwyczajnie głębokie.

Abidemi otworzył oczy. W jego głowie stadko dzikich zwierząt brykało właśnie dookoła sadzawki myśli. Dźwięk ich stukających kopyt bezlitośnie okładał nerwy, traktując je z gracją hipopotama. Pojawiły się zawroty głowy, odezwał ból niepewności. Do tej dwójki dołączył także strach o rodzinę, który w życiu jest na ogół nieobecny, łaskawie objawiając się w najmniej odpowiednich momentach. Tym razem wybrał doskonale. Nasycił paletą odcieni szarości i tak już przesadnie mroczne przeczucia, od których chłopcu nie sposób było się uwolnić.

W tym całym ambarasie Abidemi wiedział, że żyje. Rozumował, że nie trafił wcale do nieba, ponieważ w niebie nie ma tłących się w ciemnościach oczu i że raczej nie cuchnie tam podgniłym mięsem. Z trudem jest również wyobrazić sobie defilujące w gęstym, parnym powietrzu muchy, które poszukują czegoś zarówno bez wytchnienia, jak i większego sensu.

Znajdował się właśnie w nim.

W Dole.

Otaczały go cienie. Początkowo wydawało mu się, że to on sam je rzuca, jednak szybko pozbył się równie szalonych pomysłów. Bo jeden z nich zabrał głos. A ten w ponurej komnacie wybrzmiewał, wybrzmiewał i wybrzmiewał... Wybrzmiewał nie tylko w jego głowie. Słaby oraz piskliwy odbił się od twardej, ziemistej gliny, budującej ściany bliżej nieokreślonego kształtami więzienia.

Chłopcu pozostało wsłuchać się w podszept znikąd.

- Co mu powiedział? - cień zadał pytanie jednemu z kompanów.
- Jeden albo dwa. Na pewno – odpowiedział zapewne drugi cień.
- No – zgodził się trzeci.
- Jeden albo dwa, bo inaczej by nie żył. I jego rodzina też. I jego przyjaciele też – znowu drugi.
- Tak – trzeci był nieustępliwy.
- Ale w takim razie...

Abidemi podparł się na łokciach. Oderwał przesadnie krzywe łopatki od zimnego podłoża i westchnął,

czując, jak okrzepnięte już odrapania na rękach ponownie się otwierają, dekorując minę udręką, a ubranie, trochę nieśmiało, krwią.

Trójca, bo tyłu naliczył właśnie nieznanym, zamarła w niepewności. Chłopcy-cienie mogli być w wieku Abidemi. Jemu samemu wydawało się, że mógł ich gdzieś nawet widzieć, a przynajmniej tak podpowiadał mu nieco nadwątlony przez zanik pamięci instynkt. Bo miał szansę ich znać, prawda? Tłumaczył to sobie bardzo prosto. W końcu wszędo był jego mocną stroną, a siatki połączeń utkane poprzez zadawanie się z podobnymi sobie rozrabiakami rozłożystsze niżli dłonie wuja, który czasem gładził nimi, ogromnymi i kościstymi, włosy Abidemi.

- Zaraz... - szepnął Abidemi. Napięcie podskoczyło na szczyt, aby za chwilę opaść na samo dno. Przez szczelinę pomiędzy deskami, które zasklepiały otwór Dołu, przebił się promień słońca. - O czym wy mówicie? - odczekał chwilę, usiłując zatamować rwący krwotok snujący się od przedramienia, jedynie rozszerzając przy tym jego deltę. - Jak ja się tutaj znalazłem? Co się dzieje!?

Trójca wymieniła spojrzenia, ewidentnie uczestnicząc w niemej naradzie. Niedoszłym cieniem wydawało się, że mają bardzo dużo czasu, bo przesadnie długo nie czynili użytku ze swoich krtani.

- Ja jestem Sunday Mbo – przedstawił się wreszcie pierwszy. - To są Saturday Mbo i Monday Mbo. Ale Monday niewiele mówi.

- Właśnie – stwierdził Monday Mbo.

Zrobiło się nieco jaśniej. Abidemi wykrzesał z siebie dość energii, aby nie oszaleć. Źrenice postanowiły przeprowadzić rozpoznanie, dostając bezpośredni rozkaz od cechy zwanej „ludzką ciekawością”.

Wnętrze Dołu było skromne. Niewiele, a raczej nic nie miało wspólnego z komfortem, a jednak ktoś, ci chłopcy, w nim mieszkali, co Abidemi przyjął z niemałym zdumieniem. Przecież... słoma wcale niezachęcająco zapraszała do snu, a nieforemne misy kiepsko udawały, że zbliżający się posiłek nie będzie przeznaczony dla kogoś przyrównanego godnością do zwierzyny łownej.

Jeden z nieznanym o znanym już imieniu – choć niełatwo było stwierdzić, który konkretnie, ponieważ wszyscy byli prawdopodobnie identyczni, a różniły ich jedynie drobne szczegóły, jak dziury w koszulkach czy plamy na spodenkach — pomógł mu wstać i otrząść mieszaninę zmęczenia oraz brudu z kolan, twarzy oraz brzucha. Po tak przeprowadzonej ceremonii zapytał trwającego w ciężkim szoku Abidemi:

- Co powiedział ci Łowca?

- Słucham? - Abidemi wciąż nie rozumiał.

- Odliczał przy tobie, prawda? Raz, dwa, trzy?

- Tak...

- Więc?

- Raz? - zapytał Saturday Mbo.

- Dwa? - dodał Sunday Mbo.

- Czy trzy? - piłka wróciła do Saturday'a.

- No – próbował coś koniecznie wtrącić Monday.

- Nie słuchaj Monday'a – rzucił Saturday. - On nie wie, co plecie.

Abidemi poczuł ucisk w brzuchu. Dwa olbrzymy wystartowały w konkursie walenia w jego żołądek maczugami. Gong-żołądek odpowiedział im bulgotem. Bulgot zaś przeistoczył się w żółć, skromnie ciekącą z ust zmordowanego chłopca. Sytuacja oraz dziwaczne zachowanie obcych wcale mu nie pomagało w dojściu do psychicznego ładu.

- Dwa... - namyślił się, kiedy już uporał się z kłopotami. - Co to może oznaczać? - przejęcie zaczęło odbierać mu siłę.

Trójca spojrzała po sobie. Narada.

- Jeden i dwa... – Sunday reprezentował ten rodzaj pewności siebie, która nadawała mu cechy przywódcze, dlatego to on prowadził konwersację - ...oznaczają, że przeżyjesz. Bo żyjesz?

- Chyba tak – Abidemi nie był tego do końca pewien.

- Dwa jest gorsze, bo nie wiadomo, na jak długo – poprawił się Sunday. - Natomiast trzy... Ej, pewnie nie byłoby cię teraz z nami.

- Pewnie! - podniecił się Monday Mbo, który był za pan brat z beztroską.

- Monday, przysięgam – Saturday'owi, ewidentnemu nerwusowi, nie podobało się, że Monday ciągle wtrąca swoje kontrowersyjne poglądy do dyskusji. - Zamknijże się wreszcie!

Więc Monday się zamknął.

Otworzyła się za to kłapa prowadząca na powierzchnię. Człowiek z dziurą w głowie przyszedł po Abidemięgo.

Słońce chlusnęło Abidemiemu w twarz. Był to haust świetlny o tyle nieoczekiwany, że jego powieki zaczęły prawie samoczynnie drgać w szaleńczych spazmach, próbując z powrotem zawrócić percepcję w głąb strefy mroku. Zamykały się tylko po to, żeby po chwili znowu zmienić zdanie. W końcu Abidemi tak dawno nie był uczestnikiem dnia! Chciał go chłonać, z drugiej jednak strony... Błękitne niebo jawiło

mu się jakby za kratami.

Abidemi znalazł się w trudnym położeniu. Po jego stronie stanęły tylko tumany wzbijającego się kurzu, który w geście przesadnej obronności przylgnął do jego zapłakanej twarzy.

- Proszę! - Chłopak niesiony w uścisku, który mógłby oplatać przerzucony przez ramię worek ze zbożem, wył i miotał się, gdy tajemniczy Łowca bez słowa wyjaśnienia włókł go do sapiącego groźnie jeepa. - Mogę panu pomóc! Mogę pomóc!

Łowca pozostawał niewzruszony. Usadził go na siedzeniu pasażera i zapiął pordzewiałymi pasami, które ścisnęły jego brzuch do granic możliwości. Abidemi prawie wypluł język. Za nim, jak zdążył się zorientować, przycupnęła ta posągowa z miny kobieta, którą spotkał na swej drodze zaledwie nie-wiadomo-ile dni temu.

- Znam miejsca, gdzie można spotkać nosorożce – łąał Abidemi. Wiedział, że musi im coś dać, jeśli ceną za targ jest jego własne życie. - Wielkie, piękne i dumne. Najprawdziwsze ze wszystkich! Tak piękne, że wszystkie cuda tego świata to przy nich guźcowe odchody...

Łowca warknął na niego. Psy robią tak, gdy są na coś wściekłe. Wprawny kłamca mógłby jednak dostrzec w wyrazie jego twarzy – pysku – pewną drobinę zainteresowania. Wprawny kłamca by to wykorzystał. Z drobiniki wyrzeźbiłby lawinę.

Abidemi zawsze powtarzał, że nie kłamie, a zaledwie zmyśla. Zazwyczaj twierdzą tak kłamcy najlepsi z najlepszych.

Arcykłamcy wśród arcykłamców.

- Słuchajcie – prawil Abidemi, podskakując na fotelu za każdym razem, gdy zdarte opony całowały się z wybojami. - Istnieje studnia, przy której często szwendają się nosorożce. Nie wierzycie? - zapytał zawiadacko. - Ujrzyjcie ją tylko! Zwierzęta ciągle ją burzą, dlatego kamienie są obluźowane tak bardzo, że codziennie trzeba ją odbudowywać! Codziennie! Wszyscy w mojej wiosce o tym wiedzą. Ja to wiem, Kwadwo to wie, ojciec Kwadwo także, jego matka, rodzina Abwo, sąsiedzi rodziny Abwo...

- Coś jeszcze? - odezwał się Łowca. Ton jego głosu był spokojny, pogodzony, jednak jasne było, iż karty znalazły się chwilowo w ręku chłopca.

- Oczywiście! - krzyknął Abidemi. Pojazd sunął przez wyschnięte połacie, których szaty roślinnej nie powstydzilby się żaden nędzarz. - Kamień. Nieopodal jest też kamień, cały spłaszczony! Wciąż i wciąż maszerują po nim wielkie i groźne nosorożce, ocierają się o niego i zasiadają na jego brzegach! Od rana aż do zmierzchu, od zmierzchu aż po ranek! To prawdziwa okazja, jeśli ktoś chciałby schwytać tak wspaniałą bestię, jaką jest nosorożec... A już na pewno każdy w mojej wiosce! - zaczerpnął powietrza bzycającego od much. - Kiedyś dziadek Uzomy...

- Gdzie? – Łowca został ofiarą. Ofiara – Łowcą.

Droga pełna nadziei oraz wiary w odzyskanie utraconego dzieciństwa trwała pełne trzy dni. Sobotę, niedzielę oraz poniedziałek spędzili w aucie, czasami tylko zatrzymując się pośrodku pustkowi, aby odespać niewygodę płynącej powoli trasy. W tym czasie Abidemi konstruował plan. Właściwie wyłącznie na to mógł sobie pozwolić. Mimo trapiącej go tęsknoty i upominających się o łzy emocji obmyślił w szczególności, w jaki sposób przyjdzie mu stoczyć zbliżający się nieuchronnie bój o wolność. Z kłamstw być może urodzą się jakieś plony, łudził się. Niewielu porwanym dawano choćby tyle – a jedna myśl potrafi przecież dostarczyć naprawdę wiele szczęścia, stając się balsamem duszy.

Przebłysek słońca.

Przebłysek wspomnień.

Najpierw pojawił się zapach traw, który przywiódł ze sobą historie z przeszłości. Abidemi dostrzegł swój kamień. Swoją ścieżkę. Nawet, ale tylko przypuszczalnie, swoje odciski stóp, które pozostawił, niczym wyrodna matka, na pastwę pogody i czasu.

Jeep zatrzymał się przy kamieniu. Łowca widząc, że w pobliżu nie znajduje się nic ani nikt, odpiął wymyślnie pozwijane pasy, które krępowały Abidemiego i wraz z nim powędrował w stronę domniemanego lepu na nosorożce. Kobieta oglądała całą scenkę bez wyrazu, nie kusząc się nawet o najdrobniejszy ruch. Jakby... swą chłodną postawą wyrażała obojętność całego świata.

„Czy ktoś pomoże?” - zapytał sam siebie Abidemi.

Ale tam był tylko kamień.

Tak jak i burzona przez ciotkę studnia.

Monumenty nadziei.

Kłamstwa.

Abidemi wyskoczył chyżo przed siebie. Kostki wyczuły poklepujące je łany wyschniętych roślin, próbujące jakby dopingować pierzchającego chłopca. Zerwał się wiatr. Także on otoczył smukłą postać swoją opieką. Nie tylko popychał bolące plecy, ale i zdmuchiwał z hebanowej twarzy krople łez, które w innym wypadku mogłyby zakłócać przekrwionym oczom pole widzenia. Siły natury sprzymierzyły się nawet wtedy, kiedy Łowca uniósł broń, aby wystrzelić w kierunku znikającej sylwetki; wspaniałomyślnie zagłuszyły złowrogi, przejmujący huk, który dobył się z wylotu niesprawiedliwej lufy.

Kula trafiła Abidemiego tuż nad lewym uchem.

Naderwana czaszka. Obląkańczy ból. Wszystko... się... kończy.

Przyjacielski wicher pomógł bezpiecznie ułożyć cierpiące ciało na ziemi ojców.

Sobota, niedziela oraz poniedziałek nadziei dobiegły końca.

Noc.

Ciężarówka strażników Parku Narodowego Sofo, przez miejscowych nazywanych od barwy koszul „Szarakami”, przebiegała się przez spokojne o tej porze bezdroża. Grad ciem z hukiem tłukł w przednią szybę pojazdu. Stworzenia rozbijały o nią główki z niesamowitą regularnością, gwarantując stałą rozrywkę Michaelowi, jedynemu białemu, który z racji programu wsparcia europejskiego, strzegł tych terenów przed kłusownikami.

- Tam – rzucił do niego po godzinach nudy czarnoskóry kierowca. Nerwowo zgasił światła reflektorów. Jakby na dźwięk jego głosu auto skręciło delikatnie w lewo, kierując się w stronę... akcji. W końcu w od-dali zaświecił zderzak innego pojazdu; pojazdu, którego wcale nie powinno tam być – ani tam, ani gdziekolwiek.

Zaczęli powoli toczyć się w jego stronę. Bez biegu, a raz z biegiem, gdy tylko zaistniała taka potrzeba. Ciężarówka niczym gepard rozpoczęła swe święte polowanie. Z trudem ograniczyła mruczenie silnika, łakomego na pościg i czyhającą w mroku nagrodę.

Michael oparł broń na kolanach, masując w przejściu jej toporny uchwyt; chciał, aby był dla niego roz-grzany, jeśli – kiedy – przyjdzie na to pora.

Znaleźli się w promieniu parudziesięciu metrów od stojącego w szczerym polu intruza. Podskórnym wy-czuwali, co się stanie. Kierowca zerknął na Michaela, a ten skinął nań głową. Mężczyzna rozpedził wóz. Gwałtownie uruchomił reflektory. Wyhamował.

Snop światła przebił się przez czekające na ten moment ćmy i na wzór piki utknął w truchle nosorożca. Martwe zwierze rozciągnęło się na czterech kończynach, jakby w geście ostatecznej potrzeby kopulując z samą Gają. Przy nim stał człowiek. Przy człowieku stał jeep.

- Hej! - Michael wściekły i do żywego porażony obrzydliwością sceny wyskoczył nagle z ciężarówki. Nocne motyle w obawie przed jego zmarszczonymi brwiami pierzchły w stronę ciemności. Biały odbez-pieczyl broń. Muszka natychmiast odszukała kłusownika, tak jak strzelba kłusownika odszukała Mi-chaela. Kierowca na razie nie rozwiązywał tego pata. Siedział w szoku za kierownicą swego mechanicz-nego geparda. Starcie Europejczyka z Afrykańczykiem miało przebiec bez ingerencji innych.

- Uhh... - obrzydził się Michael, gdy zobaczył wyrwę w głowie przeciwnika. Była nienaturalna i automa-tycznie błagała spoglądającego o wymioty. Dziura w... głowie? - Jesteś potworem! - dał upust złości. - Nie jesteś godny stąpać po tej krainie, dzikusie. Wiesz w ogóle, jak niewiele pozostało sztuk tych stworzeń? Ty...

- Ahh... - sapnął kłusownik, drżąc w niewypowiedzianej wręcz nienawiści. Jego oczy starannie oblizyły białego, sycąc umysł dosyć składną wizją. Biały miał resztki mięsa pomiędzy zębami. Lubił zwierzęta.

Biały miał ładne ubranie i zupełnie niezłe buty. Nawet, choć nie może to dziwić, jego prywatny zdaje się – karabin – sprawiał wrażenie nowego. Czystego. Takiego, o którego dba się już od pierwszego dnia po opuszczeniu fabryki, aż po wystrzelenie ostatniego pocisku. Rozpieszczanego. Takiego, którego los niańczy i karmi amunicją, gdy jest w potrzebie.

Ale niechże tylko karabin ma pecha. Niech znajdzie się w złym miejscu i czasie. Wtedy... może wywołać prawdziwe piekło.

- Daję ci trzy sekundy, pieprzony dziwaku... - grzmiał biały. - Ty pieprzony...

- Raz. Dwa. Trzy – Abidemi wyszeptał płaczliwie słowa matczynej rymowanki.

Zerwał się przyjacielski wiatr.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

henrykinho, dodano 12.03.2014 10:02

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.